



LILIANA
FABISIŃSKA

znajdka

SAGA RYBACKA



Silver
oficyna wydawnicza

Taita

Karolina zerknęła w lusterko z wyraźną przyjemnością. Już pierwszy dzień spędzony na gdańskiej plaży i pierwszy kontakt z czerwcowym słońcem sprawiły, że jej blada, zmęczona po zimie twarz lekko zbrązowiała. Tak, to była twarz osoby zrelaksowanej i szczęśliwej.

Czy była szczęśliwa? Chyba tak. Od dzieciństwa kochała morze. Nigdy nie czuła się równie wolna i radosna jak wtedy, gdy szła po gorącym piasku, a fale obmywały jej stopy. Kochała wodę, po prostu. Nie zastanawiała się, dlaczego tak jest. Dopiero dwa dni temu przez przypadek dowiedziała się, że jest związana z morzem silniej, niż dotąd sądziła. Że gdzieś tu, na Półwyspie Helskim, są prawdopodobnie jej korzenie. Gdańsk okazał się tylko ostatnim rozdziałem rodzinnej historii, której fragmenty, pełne gigantycznych luk i nieścisłości, opowiedziała jej mama. Niektóre fakty zgadzały się z tym, co mówiła mama Dominiki. Niektóre kompletnie się nie pokrywały, a nawet były sprzecznymi ich wersjami. Karolina wciąż nie miała pewności, co łączy ją z dziewczyną spotkaną

pod dziekanatem. Ale wiedziała już, że jeśli ma znaleźć wyjaśnienie, to powinna go szukać na Helu.

Nigdy tu nie była, nie wiedziała nawet, że Półwysep jest tak blisko Trójmiasta. No i że naprawdę jest wąski! Co innego patrzeć na mapę, a co innego zobaczyć to na własne oczy.

Zafascynowana wyglądała teraz przez okno pociągu. Po prawej stronie jezdnia, zaraz za nią morze, nawet bez plaży. Po lewej pas lasu, wydma, pas piasku – i też morze. Ile to mogło mieć szerokości? Sto, może dwieście metrów? Na pewno nie więcej, przynajmniej nie w Kuźnicy leżącej w najwęższym miejscu Helu.

Półwysep zaczynał się zaraz za Puckiem, we Władysławowie. Pierwsze były Chałupy z mnóstwem pól namiotowych ciasno zastawionych kamperami. Woda od strony zatoki pełna była kolorowych żagli kajtów. Jakiś mężczyzna, zdejmując walizkę z półki, zaczął nucić pod nosem starą piosenkę: „Jak co roku w Chałupach, gdy zaczyna się upał, widać golców tłum...”.

Karolina przykleiła nos do szyby, nie zauważyła jednak żadnej plaży nudystów. Chałupy właśnie się skończyły, przejechali przez najwęższe miejsce Półwyspu i pociąg zatrzymał się w Kuźnicy. Podśpiewujący pasażer wysiadł razem ze swoją wściekle zieloną walizką. Karolina też zaczęła się zbierać. Półwysep za oknem wyraźnie się rozszerzał, widać było nawet bloki. To Jastarnia, cel

jej podróży. Czytała, że dalej jest jeszcze Jurata, pełna luksusowych apartamentów, kilkanaście kilometrów lasu i na samym koniuszku Półwyspu miasteczko Hel. One jednak nie odgrywały w historii, którą Karolina próbowała zgłębić, żadnej roli, przynajmniej na razie.

Wszystko, o czym opowiadała mama Dominiki, zaczęło się właśnie tutaj, w Chałupach i Jastarni, gdzieś w bardzo dalekiej przeszłości. Wtedy to nawet nie były Chałupy... Wiele miejscowości miało inne nazwy: Władysławowo to była Wielka Wieś, a Chałupy – Budziszewo, Budzisz, Ceynowa lub nawet Nicponia! Nicponia, niezła nazwa, co?! Rybacy pracowali razem, tworząc spółki o egzotycznie brzmiącej nazwie „maszoperie”. W tej Ceynowie żyła skromna wdowa Budziszyna ze swoimi synami, w domu pełnym suszonych ziół. I wielu, wielu innych, przez nikogo już niepamiętanych Kaszubów. W tym ci najważniejsi dla Karoliny. Gdzieś w roku tysiąc osiemset trzydziestym czwartym. Albo jeszcze ciut wcześniej.



– Taaa... itaaa... – zaszumiały trawy. – Taaa...

Maria nie знаła tego słowa. Nie kojarzyło jej się z niczym, ani dobrym, ani złym. Nie przywoływało żadnego obrazu. Przystanęła, myśląc, że to skrzyp butów układa się w takie dziwne sylaby. Nie poruszała stopami,

trawy jednak nie przestawały szumieć. Zupełnie jakby chciały dać jej coś do zrozumienia.

Miała już kiedyś takie wrażenie. Wtedy jej włosy były jeszcze kruczoczarne, myśli bystre, a kroki szybkie. Bardzo dawne czasy...

Przez cały dzień nie wiadomo dlaczego nie mogła się uwolnić od słowa „ogień”. Trwało przy niej, gdy gotowała kartofle, szorowała piaskiem garnki i karmiła swoje trzy chude kury. Przeczucie? Nie wątpiła, że tak, choć ludzie w Jastarni woleli wierzyć, że Maria poczuła zapach płonącej słomy lub zobaczyła łunę nad domem starego Macieja. Mówili, że ten widok podpowiedział jej słowo „pożar”.

Ludzie we wsi nie lubili kobiet takich jak ona czy Budziszyna, bali się ich. Posądzali o konszachty z diabłem i wszystko, co najgorsze.

– Taita! – zaszumiały trawy raz jeszcze.

Czy powinna sobie o czymś przypomnieć? A może powinna znać kolor lub smak taity? Nie była już młoda i czasami gubiła gdzieś znaczenie słów. Tego jednak słowa nie słyszała nigdy przedtem, to pewne.

– Taita!

Tym razem głos rozległ się całkiem blisko i nie przypominał już wcale szumu traw ani skrzypienia butów. Przypominał raczej płacz głodnego, nieszczęśliwego dziecka.

Maria pochyliła się z wysiłkiem. Ciężko było poruszać się w grubej kurtce, spódnicy i halkach oplątujących nogi. I jeszcze ta chustka wokół szyi – niemal dusiła ją przy gwałtownych ruchach. Kobieta wiedziała jednak, że ostre powietrze może sprawić, iż straci głos i zachoruje na wiele miesięcy. Nie chciała kaszleć ani leżeć beczynnym w łóżku, owijała się więc ciasno chustą aż do Wielkanocy.

Zdjęła rękawice, przetarte już i rozciągnięte. Zrobiła je dla niej Budziszyna przed siedmioma czy ośmioma laty. Myślała nieraz, że przydałyby jej się nowe, ciągle jednak brakowało na nową wełnę.

Z ulgą odłożyła rękawice na piach, rozprostowała palce i zaczęła delikatnie rozgarniać sitowie. Nie mogła znieść krzywdy dzieci, piskłat czy małych psiaków. Jeśli więc ten dźwięk wydawało bezbronne stworzenie, musiała mu pomóc.

W pierwszej chwili sądziła, że w trzcinach leży pies. Rudy, kudłaty i wychudzony. Maria miała kiedyś takiego, z sierścią w niemal identycznym odcieniu. Kochaną znajdě, która przez dwanaście lat nie odstępowała jej na krok. „Dobrze byłoby mieć znowu psa, prawdziwego, wiernego przyjaciela na ostatnie lata życia”, pomyślała.

– Chodź, piesku, chodź! – Cofnęła się i wyjęła z koszyka rybę. Jeśli podstawi głodnemu zwierzakowi pod nos pustą dłoń, ten prawdopodobnie ją ugryzie. Nie ze

złej woli czy z nienawiści, lecz po prostu ze strachu. Wołała nie ryzykować.

Powoli, by nie spłoszyć zwierzęcia, podsunęła mu śledzia. Może nie była to wymarzona kolacja, niewielka i pełna ości. Ale jeśli ktoś jest naprawdę głodny, nie powinien chyba wybrzydzać.

– No, masz, biedaku, masz – powtarzała szeptem. – To dobra, świeża ryba.

Rude stworzenie jednak nie podzielało jej opinii. Otrząsnęło się z wyraźną niechęcią i uniosło głowę. W tym momencie Maria zamarła: istotka, którą wzięła za psa, była brudnym, rozczochranym, trzęsącym się z zimna dzieckiem.

– Taita? – Tym razem w głosie rudej istotki brzmiało wyraźne pytanie. Tylko o co? O mamę? Tatę? O coś innego do jedzenia?

– Nie bój się, zajmę się tobą – szepnęła łagodnie Maria, podnosząc z wysiłkiem dziecko i dostrzegając jednocześnie, że to dziewczynka. – Nie będziesz głodna – mówiła dalej. – Zaraz dostaniesz ciepłą sukienkę i chusteczkę na głowę. Zaplecimy ci warkocze, zgoda? To będą długie, piękne warkocze. Cała wieś ci pozazdrości. Nikt takich nie ma. Małej Wandeczce już cztery lata włosów nie ścinają, a i tak ledwie mysie ogonki jej sterczą spod chusteczki. Ty to co innego! Zaplecimy ci warkocze do pasa, a potem zaprowadzimy do rodziców.

Zamilkła na chwilę, niepewna, czy doczeka się odpowiedzi. Nie znała się zbyt dobrze na dzieciach, to jednak wyglądało na dostatecznie duże, by samodzielnie chodzić, biegać, a nawet karmić kury i zbierać jesienią grzyby. No i żeby mówić.

Dziecko nie zamierzało jednak zaprezentować pełnych możliwości w tej dziedzinie.

– Taita – przytaknęło po prostu, wysłuchawszy grzecznie opowieści o sukienkach i warkoczach, po czym... zasnęło w ramionach Marii.

Siwa rybaczka, niewiele myśląc, zdjęła z siebie jedną z halek i otuliła dziewczynkę. Na szczęście póki było zimno, zawsze miała ich pod spódnicą co najmniej cztery. Do czego to podobne, żeby dziecko biegało po dworze całkiem nagie w taką pogodę?! Kto wypuścił je z domu, nie zadbawszy o ciepłe ubranie?! Maria sięgnęła jeszcze raz pod spódnicę. Podzieli się z małą po równo: dwie halki jej odda, dwie zostawi sobie.

– Już ja bym im pokazała! – Spokojna zwykle kobieta dotknęła zmarzniętej dłoni dziewczynki i poczuła, że nie lubi jej rodziców. Nie mogli być dobrzy. – Sami pewnie trzy koszule i kurtkę włożyli, a małą sobie głowy nie zaprzęтали – mruzczała gniewnie pod nosem. – Zaraz tam pójde i powiem, że jak tak dalej będą postępować, to dziecko znajdą na brzegu morza zamarzniete na śmierć. Żeby się nie zdziwili. Albo ktoś im małą zabierze

i wychowa jak swoją, i na pewno lepiej tam będzie miała niż u takich jak oni! Wszystko im powiem, jak tylko... – Urwała w pół zdania.

Poszukując w myślach winnego, Maria zdała sobie nagle sprawę, że przecież nie ma pojęcia, kim są rodzice dziewczynki.

Zaczęła się zastanawiać. Może mieszkają gdzieś bliżej stałego lądu, w Kuźnicy, Ceynowie czy nawet Wielkiej Wsi? Mimo to powinna ich kiedyś widzieć, zapamiętać. Od dnia, gdy zapowiedziano budowę kościoła, ksiądz ciągle powtarzał, że mają tworzyć wspólnotę. Zarówno z katolikami z Kuźnicy, jak i z ewangelikami z Helu. Maria rozmawiała więc z innymi parafianami. Znała imiona, pamiętała wiele twarzy, ale nie było wśród nich nikogo, kto choć trochę przypominałby pigowatego rudzielca z figlarnie zadartym noskiem.

Taita... Może to jej imię? Jeśli tak, dziewczynka na pewno nie pochodzi z Półwyspu.

– No i co ja mam z tobą zrobić, ptaszyno? Komu cię oddać? Gdzie szukać twojego domu? – pytała śpiące smacznie w jej ramionach dziecko.

Nie oczekiwała żadnych wyjaśnień. Wystarczało jej, że słyszy miarowe pochrapywanie i czuje ciepło malutkiego ciała.

„Nie chcę jej oddać”, pomyślała nagle nieoczekiwanie dla samej siebie. I zaraz przestraszyła się tego pomysłu.

– Nie chcę jej oddać – powiedziała półgłosem, wierząc, że gdy usłyszysz tę myśl wypowiedzianą, splecioną z szumem trzciny, z całą mocą ujrzy jej niedorzeczność.

Tak się jednak nie stało. Pragnienie, zrodzone gwałtownie w siwej głowie i schorowanym sercu, nie zamierzało odejść, przeciwnie – zapuszczało korzenie i powtarzało: „Zabierz ją, zabierz do siebie”.

– Napalimy w piecu – szeptała wzruszona, patrząc na nieruchomy profil uspiętej dziewczynki. – Zrobię ci posłanie w kącie, przy moim łóżku. A może nawet wezmę cię pod pierzynę? Idzie zimna noc, we dwie ogrzejemy się szybciej. Zgadzasz się?

Nie usłyszała odpowiedzi. Nie czekała na nią. Po prostu pozwoliła się porwać swym marzeniom. Były takie kuszące: poczuć małe, ciepłe ciało tuż obok swojego, utulić dziewczynkę do snu, wsłuchać się w jej oddech.

Maria lubiła dzieci, choć nigdy nie miała własnych. Gdy odwiedzały ją pociechy z sąsiedztwa, rysowała im na piasku wysokie wieże i opowiadała historie o księżniczkach żyjących na dnie morza. Lubiała tulić je do siebie, tak jak tę znajdkę. Z drugiej jednak strony wiedziała, że nie ma do dzieci cierpliwości. Czuła się bezradna, gdy płakały, denerwowała się, gdy nieustannie wypytywały „dlaczego to?” albo „dlaczego tamto?”. Nie lubiła też ich karmić, złościło ją, że nawet gdy są głodne, potrafią pluć dookoła najlepszą, ugotowaną przed chwilą polewką.

Tym bardziej nie znajdowała przyjemności w podcieraniu dziecięcych pupek.

Chyba między innymi dlatego ludzie we wsi uważali Marię za dziwaczkę, choć przecież kiedyś byli dla niej mili. Gdy trafiła do Jastarni, przyjęli ją jak swoją i traktowali na równi z miejscowymi dziewczętami. Gdy jednak mijały lata, a w jej czystutkim domku nie pojawiało się dziecko, zaczęli spoglądać na nią podejrzliwie. Jakby zapomnieli, że to nie był jej wybór, że tak zdecydował przewrotny los.

„Jo, gdybym wyszła za Piotra, na pewno mielibyśmy wiele córek i synów”, myślała nieraz. „Każde małżeństwo ma przecież dzieci. A gdy ma, to je kocha.”

Maria też z pewnością kochałaby swoje.

Tak, gdyby wyszła za mąż, patrzyłaby z radością na swe rosnące jak na drożdżach pociechy i cieszyła się nimi każdego dnia. A Piotr, wracając z połowu, puchłby z dumy na widok gospodarnej żony i dorodnego potomstwa. Ich rodzinę podziwiano by w całej wsi. Może nawet ksiądz z ambony postawiłby ich kiedyś za wzór? To byłoby życie!

Maria nie zaznała jednak rodzinnego szczęścia i szacunku ze strony rybaków. Piotr utonął miesiąc przed ich ślubem. Nowe spodnie, gotowe do ostatniej przymiar-ki, zostały u krawca chyba na zawsze. A może Jakubiak sprzedał je innemu panu młodemu? Może komuś

jednak przyniosły szczęście? Maria lubiła myśleć, że tak się stało.

Nie umiała zapomnieć Piotra. Pozostała wierna przysiędze złożonej na plaży o zachodzie słońca. Że tylko z nim, że nigdy z nikim innym. Wierność ta oznaczała jednak brak dzieci.

Nigdy o nich nie myślała, nie żałowała. Dopiero teraz, tuląc do siebie rudą dziewczynkę, poczuła, że straciła coś bardzo cennego. Że jej życie nie było pełne. Bo zabrakło w nim chwil takich jak ta, z maleństwem śpiącym w jej ramionach.

Pokusa, żeby zatrzymać u siebie dziecko, była bardzo silna. Nie na tyle jednak, by odebrać Marii resztki zdrowego rozsądku. Rzeczywiście mogła wziąć znajdkę do domu. Napaliłaby w piecu, nakarmiła dziecko pysznymi małymi śledzikami i świeżymi podplomykami. Tego ranka Wojciech niespodziewanie przyniósł jej kilka jeszcze ciepłych. Musiała przyznać, że były lepsze niż te, które sama robiła na swoim starym piecu. Na pewno smakowałyby znajdce. Zjadłaby pewnie dwa. A może nawet trzy? Potem usnęłyby razem. Maria tuliłaby do siebie ciepłe ciało. I byłaby naprawdę szczęśliwa. Miałaby dziecko, miałaby dla kogo żyć.

Ale przecież przyszedłby ranek. Dziewczynka chciałaby znowu jeść, pić, bawić się, siusiać... I tak dzień po dniu.

„Musiałabym być przy małej cały czas”, pomyślała trzeźwo. „Ciagle uważać, żeby nie upadła, nie rozbiła sobie głowy albo nie pokaleczyła rączek ostrymi przedmiotami. By nie zjadła trującego grzyba, nie oblała się wrzątkiem. Jo, przy dziecku życie nie jest lekkie.”

Maria potrafiła to sobie dokładnie wyobrazić. I ta wizja wcale jej nie odpowiadała.

„Przywykłam do swojej samotności, polubiłam ją”, odkryła nagle. Mała była słodka, to prawda, jednak co innego mieć ją na jedną noc, a co innego sprostać obowiązkowi opieki całymi dniami, bez chwili przerwy. Wychowanie dziecka to przecież ogromna odpowiedzialność! Nie, Maria nie była na nią gotowa. Może gdyby była młodsza? Miałaby więcej sił, więcej cierpliwości...

Poza tym dziecko mogłoby zakłócić jedyne szczęśliwe chwile, jakie przeżywała. Nie mówiła o nich nikomu, nawet swojej przyjaciółce. Wspomnienia przychodziły czasami, gdy zamykała oczy i rozmyślała o dawnych radosnych czasach. Zdarzało się, zbyt rzadko niestety, że nagle przed jej oczyma pojawiała się twarz Piotra – tak wyraźna, jakby widziała ją wczoraj. Czekwała na te chwile i pragnęła, by trwały i trwały.

Czasami właśnie wtedy ktoś nieoczekiwanie zjawiał się w jej domu i płoszył miłą wizję. Twarz Piotra odlatywała w dal i znów trzeba było czekać tygodniami, by jego brwi, oczy, kształt nosa i uśmiechnięte szerokie usta

powróciły do Marii. Złościła się wtedy na nieproszonego gościa, który jej przeszkodził. Bywała dla niego nieprzyjemna, raz nawet wyrzuciła za drzwi Bogu ducha winną sąsiadkę, która przyniosła jej świeże jajka i nie oczekiwała zapłaty.

„Maria dziwaczeje na starość, ludzi nie poznaje”, mówiono potem we wsi.

A ona marzyła tylko o tym, żeby zobaczyć twarz Piotra, choćby w wyobraźni. A gdy się pojawiał, pragnęła, żeby pozostał z nią jak najdłużej.

– Już sobie wyobrażam, jak by to było przy dziecku – mruknęła teraz do siebie. – Gdyby akurat czarne oczy Piotra pojawiły się znowu, a mała przerwałaby mi tę cudowną chwilę... Nie, to nie na moje nerwy.

Tak, Maria zdawała sobie sprawę z własnej niedoskonałości. Kto wie, może w takiej sytuacji potrafiłaby nawet uderzyć dziewczynkę? A potem żałowałyby tego, nie mogłaby zasnąć, trapiąca wyrzutami sumienia.

Westchnęła głęboko, rezygnując z zabrania dziecka choćby na jedną noc.

– Nie mogę cię przygarnąć – powiedziała do śpiącej znajdkki. – Lepiej, żebyś się nie przyzwyczajała do mojego domu. Mam dla ciebie lepszy ką, tam będziesz mogła zostać na zawsze.

Wiedziała doskonale, do kogo chce zabrać małą. Na Półwyspie było tylko jedno takie miejsce, dom pełen

ciepła i miłości. Tam zawsze można było liczyć na kubek gorących ziół i dobre słowo.

– Popłyniemy do Krystyny Budziszyny – oświadczyła Maria rudej istocie, która wciąż nie otwierała oczu. – Ona na pewno przyjmie cię pod swój dach.

Wdowa po Michale Budziszu doskonale radziła sobie z gromadką własnych dzieci. Trzech synów to przecież nie byle co! Nie traciła zimnej krwi nawet wtedy, gdy urwisy postanawiały tańczyć na stromym dachu lub złapać piorun do skrzyni na pościel. A najlepiej dwa pioruny, „żeby im nie było smutno”.

– Skoro radzi sobie z chłopakami, poradzi sobie na pewno i z dziewczynką – upewniła samą siebie, po czym podniosła się z wysiłkiem i ruszyła w stronę morza.

Nie uśmiechało jej się wiosłowanie, i to taki kawał. Jej ręce były już bardzo zmęczone. Ale dobry los zesłał tę istotkę i domagał się, by Maria zadbała o jej przyszłość. A skoro ta przyszłość nazywała się Budziszyna i mieszkała w Ceynowie, nie było rady, Maria musiała tam popłynąć.

To właśnie wdowę po Budziszu Maria nazywała przyjaciółką, tylko ją jedną. Nie podobało się to sąsiadom, nawet raz czy dwa radzili jej ze szczerego serca, żeby trzymała się jak najdalej od tej kobiety. Od chwili, gdy Krystyna po raz pierwszy postawiła nogę na Półwyspie, była uważana za osobę podejrzaną. Nikt nic o niej

nie wiedział. Mąż sprowadził ją przed laty nie wiadomo skąd i nakłonił maszopów, by zaakceptowali jego żonę.

– Nie ma drugiej takiej dziewczyny – powtarzał każdemu. – Sami zobaczycie. Pracowita jak żadna, mądrzejsza niż najmądrzejszy chłop. No i jaka piękna!

Rybacy potakiwali i siedzieli cicho. Wiadomo, zakochał się, rozum stracił. W końcu nie oni musieli jeść te dziwactwa gotowane przez Krystynę, te wszystkie wymyślne ciasteczka i gęste jak masło kremy mleczne, jakich na Helu nigdy przedtem nie widziano. Nie oni musieli słuchać jej mądrych wywodów. Oni nie pozwoliliby swoim kobietom tak się w domu panoszyć. W maszopskim domu musi być jasne, kto nosi spodnie, a kto kieckę. Choć sąsiedzi drwili z Budziszka po kątach, zachwycony żoną Michał chodził po wsi dumny jak paw.

Po jego śmierci ponad pięć lat temu oczekiwano, że kobieta popadnie w czarną rozpacz i szybko znajdzie ojczyma dla swych synów. Taka była na wsi kolej rzeczy. „Należy ci się pomoc, jo? Takie już maszopskie prawo. Dostaniesz swoją rybę, ale musisz być miła, uśmiechać się, przeprosić czasem, że ty i dzieciaki jesteście dla sąsiadów obciążeniem. Korona ci z głowy nie spadnie, jak podziękujesz za strawę!”

Cała wieś usiłowała nakłonić Budziszynę do pokory. Gdyby tylko była dostatecznie nieszczęśliwa i dostatecznie wdzięczna, na pewno jakiś poczciwy rybak ożeniłby

się z nią i przygarnął pod swój dach. „Przy nowym mężu każda wdowa czuje się lepiej”, przekonywały niezmordowanie sąsiadki. „Ma kto naprawić ścianę, gdy wiatr hula między deskami. Ma kto drewna narąbać i przynieść ciężkie kosze z komórki. No a przede wszystkim pokierować chłopakami, by wyrosli na dobrych rybaków”.

Ona jednak nie zamierzała się poddać. Sama łupała szczapki, naprawiała dach, a synów trzymała żelazną ręką i co już zupełnie niepojęte, była jednocześnie ich najlepszą przyjaciółką i kompanem do zabaw. Jakby tego było mało, nie chciała nawet słyszeć o powtórnym zamążpójściu.

Maria rozumiała doskonale i podziwiała przyjaciółkę. Obserwowała, jak maszopi usiłują zmusić ją do uległości. Gdy zawiodły inne metody, rybacy zmniejszyli radykalnie porcje ryb dostarczane wdowie wedle prawa. Ona jednak podnosiła głowę jeszcze wyżej, wdziewała skórznie (nie lubiła tego słowa, uparcie nazywała je „wodnymi butami”, może tak mówiono w jej rodzinnej wiosce?) i sama wychodziła z siecią w morze. Potrafiła wiosłować szybciej niż niejeden mężczyzna, nie złamały jej ani mróz, ani głód, ani ludzka nieżyczliwość.

Maria kochała Budziszynę jak siostrę albo raczej jak córkę. Była przecież od niej starsza o jakieś dwadzieścia lat. Wiedziała, że może zapukać do skromnego domku Krystyny o każdej porze.

Najprawdopodobniej wiele kobiet bliżej Jastarni przyjęłoby pod swój dach jeszcze jedno dziecko. Lecz Maria ufała tylko wdowie. I dlatego, nie zważając na zapadającą noc, bez namysłu zepchnęła dopiero co wysmołowaną łódź na wodę. Ręce bolały ją przy każdym ruchu, przez moment myślała, że nie przesunie ciężaru po piasku ani o milimetr. Wiedziała jednak, że nie może się poddać. Starsi od niej maszopi codziennie spychali swe łodzie, dlaczego więc ona miałaby nie dać rady?

Wzięła głęboki oddech, zbierając wszystkie siły, deski zatrzeszczały i łódź dotknęła rozbijającej się o brzeg fali. Najtrudniejsze miała już za sobą.

Ciągle jednak nie mogła być pewna, czy da radę przepłynąć taki kawał. Z niepokojem obserwowała granatowe, wzburzone fale. Wiatr był marcowo silny i nieprzyjemny, ona zaś miała za sobą długi, pracowity dzień.

Szczęśliwie tej nocy duch Piotra z pewnością krążył nad jej głową.

– Jesteś obok, czuję to – szeptała z wdzięcznością.

Kilka razy wiatr chciał wyrócić małą łódkę, ale wtedy fala nieoczekiwanie zmieniała kierunek i zamiast przechylić niebezpiecznie łódź, popychała ją dalej we właściwą stronę, ku plaży w Ceynowie. Wiosła także wydawały się lżejsze i nie nasiąkały tak szybko wodą.

– Los nam sprzyja, mała. – Uśmiechnęła się do śpiącej na rufie dziewczynki.

Była zaskoczona, że ktokolwiek może spać tak długo. W dodatku w sytuacji, gdy co chwila się go szturcha i przesuwa z miejsca na miejsce, gdy łódź kołysze się na fali, a na twarz spadają krople lodowatej wody.

Maria wiosłowała z całych sił, ale czuła, że dłonie coraz bardziej odmawiają jej posłuszeństwa i że nie ma już siły poruszać miarowo ramionami. Gdy zaczęła myśleć, że będzie musiała się poddać, wiatr wyraźnie zelżał. Popychał teraz łódkę w stronę Ceynowy, upewniając Marię, że los chce, by dziecko trafiło do Budziszyny. W przeciwnym razie na pewno zesłałby na nie sztorm albo burzę z piorunami.

Było już całkiem ciemno, gdy dotarły do celu. Maria ostatkiem sił wyciągnęła łódkę na brzeg. Gdyby ta droga trwała kilka minut dłużej, gdyby miała zanurzyć wiosła choćby jeszcze trzy razy, pewnie by zemdląła. Jej pomarszczone, zahartowane przecież w pracy wiosłem dłonie pokryły się piekącymi bąblami, a serce waliło jak młotem. Wiedziała, że następnego poranka nie będzie w stanie ruszyć ręką ani nogą i nieprędko odzyska nadwątlone siły. Miała jednak nadzieję, że nie będzie musiała wracać tej samej nocy do Jastarni. Może Budziszyna zaproponuje jej nocleg? Albo poprosi Mikołaja, najstarszego syna, by popłynął razem z nią?

Z trudem znów wzięła małą na ręce, po czym powoli, ledwo ciągnąc nogi, ruszyła w stronę chaty przyjaciółki.

Najpierw przez wydmę, gdzie pod stopami szeleściła wysuszona trawa, potem przez sosnowy las. Wszędzie panowała głęboka cisza, słychać było tylko niespokojne pomruki morza.

Gdy Maria dotarła na miejsce, w żadnym z okien nie ujrzała płomyka świecy. Wszyscy mieszkańcy z pewnością dawno położyli się spać. „Żeby mnie tylko nie zawiodła”, modliła się w duchu.

Nie rozczarowała się. Wdowa bez zadawania zbędnych pytań otworzyła swą silną, niemal męską dłoń drzwi, wskazała stojące w głębi izby szerokie łóżko przykryte grubą pierzyną, podrzuciła kilka szczap do potężnego pieca, za którym w ciepłym, ciemnym kącie spali już jej synowie, i żwawo zakrzętnęła się przy pochrapującej dziewczynce. Umyła jej buzię i rączki, odziała w lnianą koszulę najmłodszego syna, a na stopy włożyła stanowczo za duże skarpety. Ruchy miała tak sprawne, jakby zajmowała się małą codziennie. Jedynie Maria, która dobrze знаła Budziszynę, była w stanie dostrzec na jej twarzy zdziwienie.

– Skąd ty ją wzięłaś, Mario? – zapytała, gdy już ułożyła dziecko na pościeli.

Starsza, drobna rybaczka, wciąż ciężko oddychając po niedawnym wysiłku, opowiedziała w krótkich słowach całą nieprawdopodobną historię.

– Nie widziałam jej nigdy przedtem – stwierdziła Krystyna, mrużąc zielone oczy. – Ona chyba nie jest stąd.

– Też tak myślę – przytaknęła Maria, zadowolona, że zgadzają się w tej sprawie. – Ruda, piegowata. Musiałyby być chociaż trochę podobna do rodziców. A ja ani tu, ani w Jastarni, ani nawet w Wielkiej Wsi nie znam nikogo podobnego.

– Ja też nie... – Zamyśliła się wdowa. Przez chwilę kiwała głową, kręcąc w dłoniach kosmyk swych gęstych włosów. Zawsze tak robiła w chwilach głębokiej zadumy. W końcu zapytała: – Rozmawiałaś z nią? Powiedziała coś, co mogłoby nam pomóc?

– W kółko powtarzała tylko jedno słowo: „taita” – relacjonowała Maria. – Bóg mi świadkiem, nie mam pojęcia, co to może znaczyć.

Krystyna bezradnie wzruszyła ramionami. Jej również nic to nie przypominało.

– Jutro się nad tym zastanowimy – postanowiła w końcu. – Mała wygląda na jakieś cztery latka, jak się wyśpi, pewnie uda się z niej coś wyciągnąć. Nie ma co teraz łamać sobie głowy. Noc jest do spania. Rano wyszukamy jej jakieś ubranie. Miała wielkie szczęście, że ją znalazłaś, Mario.

– Jo! – Tylko to słowo używane na Kaszubach, by przytaknąć z całą mocą, przyszło jej do głowy. Nie wiedziała, jak inaczej wyrazić wdzięczność. Była szczęśliwa, że nie musi wracać tej nocy do Jastarni, że przyjaciółka użyczy jej noclegu.

Krystyna, jakby odgadując jej myśli, uśmiechnęła się swym najpiękniejszym uśmiechem i powiedziała:

– Mądra z ciebie kobieta. Bałam się, że będziesz chciała płynąć do domu jeszcze dzisiaj. No, ściągaj ubranie, pomieścimy się pod moją pierzyną. Tego śpiocha też przygarniemy.

– Cieplutko nam dziś będzie – wyszeptwała sennie Maria.

Tymczasem Budziszyna zdziwiona zauważyła:

– Hej, a czemu nic nie mówisz, że przesunęłam posłanie bliżej pieca? Niby wiosnę już się czuje w powietrzu, mrozy się skończyły, mniej się w piecu pali, ale w nocy zimno wciąż bardzo. No to zarządziłam przemeblowanie. Chłopaki śpią z drugiej strony pieca, dzięki czemu mają prawie osobną izbę, komin ich zasłania. Dobrze, bo to czasem aż wstyd, że Ignac tak długo się wyleguje. Słońce wysoko, a on dopiero oczy otwiera. Takiego śpiocha nigdy w życiu nie widziałam. Nawet doktora w Pucku kiedyś pytałam, czy to nie choroba. Ale powiedział, że chłopak rośnie i potrzebuje snu. No to przynajmniej zza pieca go nie widać.

– Jak ktoś wejdzie, to myśli, że Ignas już biega po wsi! – roześmiała się Maria. – A on ciągle pod pierzyną. – Próbowwała powiedzieć coś jeszcze, ale zabrakło jej siły. Dłoń, zaciśnięta na kubku z gorącymi ziołami, nie chciała się rozprostować, zdrętwiała z zimna i wysiłku

palce kurczowo obejmowały pękate gliniane naczynie. „Teraz nawet nie zepchnęłabym łodzi na wodę, a co dopiero marzyć o wiosłowaniu!”, pomyślała, z wdzięcznością spoglądając na wdowę oraz na jej szerokie małżeńskie łóżce. Nie mogła się doczekać, kiedy wygodnie się w nim wyciągnie. Właśnie tego potrzebowała.

Zdjęła sztywną, granatową spódnicę, obciągnęła dwie ciepłe halki i ułożyła się po prawej stronie pościelenia. Wtuliła policzek w pachnącą wiatrem pierzynę i z rozkoszą przymknęła powieki.

– Jutro pomogę ci przy dzieciach – wymruczała, ledwie poruszając wargami.

– Dobrze, dobrze, śpij już – odrzekła gospodyni. – Do rana musisz porządnie wypocząć.

Maria przewróciła się na bok i objęła znajdkę ramieniem. Mały rudzielec wciąż pochrapywał miarowo.

– Sama nie mogłam jej zatrzymać, rozumiesz, prawda? Bałam się... Myślałam...

Krystyna nie była pewna, czy starsza przyjaciółka mówi coś przez sen, czy jednak te słowa są skierowane do niej.

Maria zasnęła, mocno przytulając do siebie obce dziecko.